

PRENUMERATA: w Warszawie kwartalnie 2 ruble (za odnośnienie do domu dopłaca się 10 kop. kwartalnie), z przesyłką pocztową kwartalnie 2 ruble 25 kop.

OGŁOSZENIA: wiersz nonparelowy lub jego miejsce na 1-ej stronie przy tekście lub w tekście 1 rub.; na 1 stronie okładki 60 kop.; na 2-ej i 4-ej stronie okładki oraz przed tekstem 30 kop.; na 3-ej stronie okładki i ogłoszenia zwykle 25 kop.; Kronika towarzyska, Nekrologi, Nadesłane po 75 kop. za wiersz. Marginesy: na 1-ej stronie 10 rub., przy Nadesłanych 8 rub.; na ostatniej stronie 7 rub. i wewnątrz 6 rub. Artykuły reklamowe 175 rubli za stronę.

ŚWIAT

Rok XII. № 5 z dnia 3 lutego 1917

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT”. Pod kierownictwem naczelnem Stefana Krzywoszewskiego.



Franc. Tow. Ubezpieczeń na życie
„L'URBAINE”
Ugi na wyp. niezł. do pracy
Filia dla Kr. P. Marszałk. 130

9785 Oddział miejski: ulica Moniuszki Nr. 2.
Biuro Kijowskie: Kijów, ulica Kreszczatik Nr. 45.
Wilno, róg Ś-to Jerskiej i Kazañskiej Nr. 9.

**Pamiętajcie
o wpisach szkolnych.**
Wszelkie ofiary przyjmuje
Administracja „Świata”.

NOWOŚĆ! NOWOŚĆ!
St. Krzywoszewski **„ROZSTAJE”**
KOMEDIA W 3 ch AKTACH.
Do nabycia we wszystkich księgarniach.

Artylerya Legionów.

W dniu 24 grudnia b. r. tłum świąteczny na ulicach Warszawy oglądał z zaciekawieniem jedną baterię artylerii Legionów, przejeżdżającą z Baranowicz do Góry Kalwarii; była to 1 bateria I pułku pod wodzą porucznika M. Bolda. Ujrzeni



Major Śniadowski, dowódca artylerii polskiej.

mieszkańcy stolicy po raz pierwszy ten rodzaj broni nowego wojaka polskiego, który decyduje o nowoczesnym charakterze każdego wojska. Zainteresowanie było zatem łatwo zrozumiałe i tem bardziej nie można pominąć sposobnośći zaznajomienia ogółu z najważniejszymi datami, dotyczącymi naszej artylerii.

Jeżeli artylerya wogóle wybiła się dzisiaj na stanowisko naczelnie w strategii i taktyce wojennej, pod względem technicznym najważniejsze, to artylerya Legionów w szczególności stała się dumą i chlubą młodego i tem bardziej ambitnego woj-

ska; nadto — o czem właśnie nie wszystkim wiadomo — do dzisiejszego, nowoczesnego swego stanu doszła nie odrazu, przeciwnie, w miniaturze jakoby i w skróceniu przeszła w ciągu dwóch lat wojny te wszystkie etapy i fazy, które artylerya innych wojsk przechodziła przez całe lat dziesiątki; nasza artylerya dorabiała się...

I kto widział poważne normalne działa 8-centymetrowe z t. zw. lane-go brązu, ciągnięte przez trzy pary koni każde, ani się domyślał zapewne, jak pocieszenie niegdyś wyglądała nasza broń artyleryjska, częściowo mieszcząca się na grzbiecie końskim. A była to dla dumy naszej niemała rzecz do przewyciężenia. Skoro się pamiętało o tradycji polskiej artylerii — generała Sowińskiego, generała Bema...

Ale wytrwałość i zasługa dopięły swego, — jak poświadczy krótki rys historii legionowej artylerii.

Z chwilą tworzenia się zaczątków „Strzelców” Piłsudskiego a nawet samych już Legionów artylerya była i mogła być tylko odległym marzeniem. W sierpniu 1914 r. wyruszyły pierwsze oddziały piechoty i

kawaleryi i one dopiero dzielnością swoją i brawurą utorowały drogę powstaniu artylerii; trzeba było zdobywać nie tylko miejscowości Królestwa i serca jego ludności, ale także — zaufanie władz wojskowych austriackich, od których Legiony pod względem militarnym i administracyjnym musiały być zależne. Przecież — mimo wszelkie trudności — już we wrześniu owego roku otrzymano pozwolenie na tworzenie artylerii. „Na początek” dane zostały działa starego systemu, górskie, 7-cmt. model z r. 1875. z niejakimi udoskonaleniami, strzelające z wielkim hałasem i dymem, tak, że po każdym strzale pokrywały się chmurą prawdziwą. Działa te nadawały się więcej za temat do wesołych piosenek, niż do nowoczesnej wojny, i były przedmiotem wesołego podziwu. Nasi kanonierzy sami układali ku ich chwale rozliczne satyry i temi pocieszali się w swoim niezadowoleniu i urażonej nieco miłości własnej. Przeszły do wiekom pamiętnego (napewno) śpiewnika pieśni żołnierskich polskich wiersze takie, w których zapytywano uragliwie: „A co też to za kawał grata?” — Odpowiedź brzmiała: „I to także jest armata... arma—ta, ta, ta...” Lub junacko z przekąsem zapewniali wiersze inne, że:

...Nasza bateria w Przegorzalach stoi
I pisze do cara, że się go nie boi...

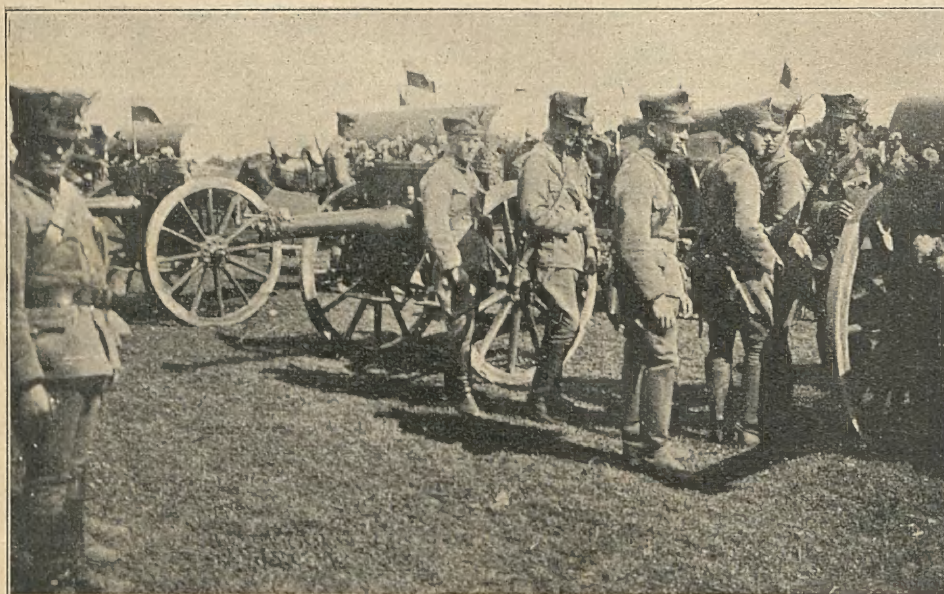
Artyleria wojska polskiego.



Bateria 8-centymetrowych „polówek” przy strzelaniu.



Ćwiczenia armatek 37-milimetrowych.



Przed odjazdem artylerii legionów z Piotrkowa na front w 1915 r.

W Przegorzalach pod Krakowem formowały się pierwsze baterie i stamtąd też z końcem września i w październiku 1914 roku wyruszyły na wojnę, I, II i III do Węgier i w Karpaty, IV i V w ślad za pierwszą brygadą na ziemie Królestwa. I swoją drogą owe armatki górskie starego systemu spisały się nieraz pod ręką młodych kanonierów wcale dobrze. Baterie Legionów, rozdzielone i przydzielone w sposób powyżej opisany, długi czas, bo aż do ofensywy jesiennej na Wołyń w r. 1915, działały osobno, jedne w Karpatach, drugie w Królestwie i w Galicji zachodniej, brały udział w licznych walkach; baterie drugiej brygady zapisały na kartach swojej historii starcia tak chlubne, jak pod Mołotkowem i Kirlibabą, — baterie pierwszej brygady pod Krzywopłotami i Pisarzową.

W początkach r. 1915 artyleria nasza otrzymała już nowe działa — polowe — tego typu, który ludność Warszawy miała sposobność widzieć w dniu 24-m grudnia i który w artylerii dzisiejszej jest najliczniejszy i najpowszedniejszy; działa te posiadają celownik skombinowany i hamulec hydrauliczny.

Zabiegów i trudności, które poprzedziły dojście do tego poziomu, zapewne nikt nie policzy i nie spisze. Jeden z malarzy-legionistów w wesołej karykaturze przedstawił dotychczasowego komendanta I pułku artylerii, majora Brzezinę-Brzozę, w postaci męża wojennego, który, mając kieszenie wyładowane armatami, ucieka przed pościgiem jakiejś wyższej władzy wojskowej...

Z nowymi działami brała już udział artyleria w wielkiej ofensywie letniej i jesiennej w Galicji, Królestwie i na Polesiu Wołyńskim w r. 1915. Oprócz wymienionych już baterii pięciu działały wtedy także utworzone później: bateria konna (t. j. z końmi dla wszystkich bez wyjątków żołnierzy obsługi armatniej, kiedy w innych bateriach, t. zw. pieszych, obsługa albo maszeruje przy działach, albo umieszcza się na specjalnych miejscach armat i jaszczeków), oraz bateria armatek 37-milimetrowych, z czasem dołączona do formacji piechoty. Dając tu tylko



Fot. A. Dulęba.

Defilada haubic w Czeremosznie w lipcu 1915 r.

najważniejsze daty z historii i organizacji artylerii Legionów w największym skróceniu, nie będziemy pisali o walkach, które chlubnie stoczyła artyleria w wielkiej ofensywie.

Na Wołyniu nastąpiło pierwsze skupienie wszystkich baterii legionowych; był to przecież początek zjednoczenia organizacyjnego całych Legionów wogóle. W czasie walk pozycyjnych, które trwały tam blisko 8 miesięcy, wykończano szczegóły organizacyjne artylerii, prowadzono szkołę podoficerską na froncie; pod koniec pozycyjnego trwania nad Styrem ściągnięto ostatecznie rozdzielone między dwie brygady baterie i sformowano pułk I artylerii całkowicie. Wtedy to także powstała 1 bateria haubic polowych 10-cmt., jako zawiązek II-go pułku artylerii.

Zorganizowana ostatecznie i wyszkolona artyleria Legionów okazała w całej pełni swoją wartość bojową w słynnym odwróceniu do linii Stochodu w lipcu b. r., jak niemniej w końcowych, poprzedzających ten odwrót, walkach nad Styrem. Uznanie

było powszechne, węzły z piechotą zadzierzgnięte serdeczne, osiągnięty tak ważny zespół bojowy tych obu rodzajów broni. Było to zapieczętowanie nowoczesnego charakteru młodego wojska, doświadczonego w dwuletnich z górą walkach. W ogniu formowało się i krystalizowało nowe wojsko polskie.



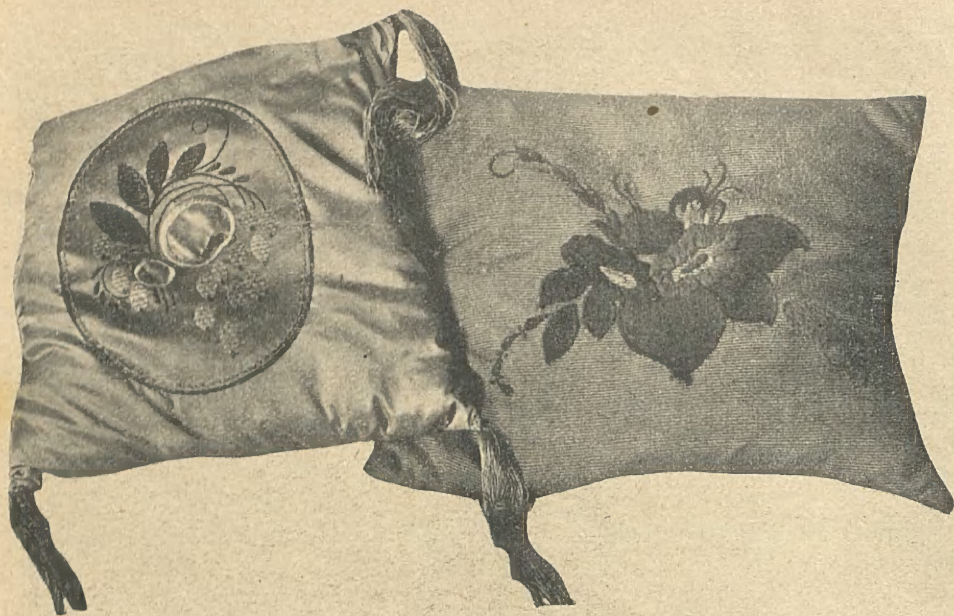
Artyleria razem z resztą Legionów skończyła swój okres wojenny na linii Stochodu we wrześniu b. r., a nawet prześcignęła je pod względem długości udziału w walkach: kilka baterii działało w ciągu niecałego miesiąca na froncie Baranowicz.

Dziś artyleria Legionów, rozmieszczona w różnych miastach kraju, ma stać się podstawą artylerii armii polskiej. Jest do tego dobrze przygotowana. Dorobek jej obecny, to jeden pułk wspólny, w którym mieszczą się i zaczątki drugiego. W skład tego pułku wchodzi 4 baterie pełne sześciodziałowe polowych armat 8-cmt. i jedna bateria haubic polowych 10-cmt.

Wśród oficerów baterii jest wielu zasłużonych i wypróbowanych w boju.

Nakoniec pochwalić się może artyleria nasza pracą nad spolszczeniem terminologii artyleryjskiej. W tym względzie usługę oddał pierwszy nowy podręcznik artylerii por. E. Knoll-Kownackiego.

Gust. Bol. B-d,
artylerzysta Legionów.



Norblinówna. Poduszki.

Wystawa Sztuki w Polskim Klubie Artystycznym.

(Hotel Polonia).

Jest w Warszawie garść artystów młodszych, niezadowolonych z współczesnych szablonów, szukających nowych form wypowiedzenia się, bardziej oryginalnych. Na czele drużyny tej stanęli prof. Edward Wittig, jeden z najlepszych rzeźbiarzy naszych, artysta, który zdobył sobie uznanie nie tylko w kraju, i Witkowski, malarz o talencie szczerym i niewątpliwym, aczkolwiek niezawsze jeszcze zrównoważony. W ładnym lokalu Polskiego Klubu Artystycznego to właśnie zrzeszenie naszych „Niezależnych” urządziło obecnie Wystawę, która wśród ogółu publiczności i pewnej części krytyki wywołuje sporo zdziwienia i niezadowolonego sarkazmu, wśród zwolenników natomiast wyrazi nadmiernie bezkrytycznego uwielbienia.

Nic w tem niema nowego. Wszystko to już było w Paryżu, w Berlinie, w Wiedniu. Zwłaszcza w Paryżu. Tem więcej, że na naszych nowatorów paryskie Salony „Niezależnych” i „Jesienne” zdają się ciążyć swym wpływem w cokolwiek niepokojącej mierze. Główny zarzut, jaki można uczynić naszym poszukiwaczom nowych kształtów Sztuki i nowych dreszczów artystycznych (nie stosując go, oczywiście, do dojrzałego i świadomego swych celów talentu Wittiga), że nie wprowadzają odrębnych pierwia-

stków do swych usiłowań, że zamiarzenia ich pozbawione są cech swoistych, któreby mówiły, że to sztuka polska, a nie inna, nowych dróg szuka.

Artystyczne znaczenie Wystawy w Hotelu Polonia może głównie leżeć w tym fakcie, że stanowi ona pewien protest przeciw banalnej rutynie, która aż nazbyt silnie panoszy się na Wystawach oficjalnych.

schlebianie poziomym gustom nie dość wyrobionej publiczności mając na widoku. Jeśli tę okoliczność wziąć pod uwagę, bardziej zrozumiałą stanie się reakcja ze strony temperamentów żywych i bujnych, które nie oprą się nawet chęci *epater les bourgeois*, pragnieniu wprowadzenia w osłupienia filistra, co to, panie tego, lubi przedewszystkiem, aby na obrazku był ładny buziaczek, i miły kolorek, a wszystko żeby pasowało do barwy obić w saloniku...

Ozdobą Wystawy jest niechybnie „Walka” prof. Wittiga, przedstawiająca trzech mężczyzn, walczących, z nożami w dłoniach, na śmierć. Świetnie skonstruowane akty, moc i pasja, technąca z całej kompozycji, doskonale pomyślanej, sprawiają, że nowe dzieło niepospolitego artysty, już w odlewie gipsowym, wywołuje silne wrażenie. Zwiększy się ono, gdy „Walka” będzie odlana w brąz lub wykuta w marmurze. Autoportret Witkowskiego świadczy o rozmachu artystycznym malarza, o świetnym opanowaniu techniki, o temperamentie zgoła niecodziennym. W innym kierunku zdaje się dążyć talent Kramsztyka. Staje się subtelnym, nie tracąc wewnętrznej siły. Zarówno portret starszej damy, jak i martwe natury tego malarza zasługują na wyróżnienie. Z innych artystów obojga płci, biorących udział w Wystawie, należy wymienić przedewszystkiem Żaka i Brzuskównę, a dalej Grząskiewiczza, Huzarskiego, Szymanowskiego, Norblinównę, Rutkowskiego i innych.

K.



Z Katedry.



Prof. MARYAN ZDIECHOWSKI, byłym prof. uniwersytetu krakowskiego, został powołany na stanowisko profesora literatury polskiej przy uniwersytecie londyńskim.



STANISŁAW TOMKOWICZ, znany historyk, kustosz Wawelu, wygłosił w Sali Towarzystwa Hygienicznego interesujący odczyt p. t. „Wawel i jego stan obecny”.



ALEKSAN. KRAUSHAR, znany i ceniony historyk, wygłosił interesujący odczyt w sali Muzeum p. t. „Kl. Hoffmanowa i gen. Sowińska, jako opiekunki rannych”.



Rom. Witkowski. Portret p. K.



Eugeniusz Żak. Rybak.



Ludwik Gardowski. Dama z parasolką.



Edward Wittig. Portret p. C. P.



Kamilla Brzosko. Portret.



Kamilla Brzosko. Pejzaż



Wacław Huzarski. Matka

O ludzkie szczęście.

Nowe edycje pism J. Żuławskiego.

Rok minął od śmierci Jerzego Żuławskiego. Nie pochłonęła go niepamięć. Żyje wciąż testament ojcowy, dany synaczkom swoim, by szli na wroga. Testament ten szczególnie dziś rozrasta się do potęgi niezwykłej. Jesteśmy przecież w przededniu stworzenia armii narodowej. Już obraduje nad naszymi losami nasz własny rząd. Przejął on troskę i pieczę nad szczęściem i wolnością narodu. A wtedy, jeszcze tak niedawno, tylko świadomość jednostek i pragnienie niezłomne rzadkich rycerzy dźwigało brzemień odpowiedzialności za przyszłość. Wtedy Żuławski, stojąc w obliczu śmierci, przemówił do synów swoich:

„Synkowie moi, poszedłem w bój,
jako wasz dziadek, a ojciec mój,
jak ojca ojciec i ojca dziad,
co z Legionami przemierzył świat.

Gdy wybuchła wojna, Żuławski zaciągnął się też zwyczajem rodzinnym pod sztandary Orła Białego. Zmierzył w szeregach szmat niemalą ziemię polską. Nie sądzono mu było jednak zginać w polu. Zwalila go z nóg zaraza.

Dziś zjawily się pisma Żuławskiego w nowej edycji. Znajdujemy wśród nich i rzeczy zupełnie nowe, jak powieść p. t.

„Profesor Butrym“. Jest to dokończenie wątku powieściowego z dawniej wydanej książki p. t. „Laus feminae“. Prof. Butrym, astronom i marzyciel, oddany jest całkowicie gwiazdom. Wyteżona jego praca stale obraca się koło tajemnic układów gwiazdzistych. Zatopiony w swoje rozważania, nie spostrzegł wcale, jak utracił szczęście swoje rodzinne.



J. Żuławski.

Ufundował je mocno przecież: ożenił się z miłości. Połączył się węzłem małżeńskim na zasadzie harmonii dusz. Posiadł złotopiórego ptaka szczęścia, nieba obdarzyły go synem. Na syna tego patrzył, jak na opatrnościowy klejnot swego życia. Lecz żona oddaliła się od niego duchem przez te kilka lat pożycia małżeńskiego. Ani się spostrzegł, jak

stała mu się obcą. Powieść Żuławskiego pokazuje tę walkę dusz, pragnących wrócić sobie raj utracony. Szczęście nie wraca jednak. Jest przecież, jak sen, jak zjawienie marzeń. Żuławski tę kwestję szczęścia ludzkiego wielokrotnie analizował w artystycznych swoich koncepcjach. Napisał on kiedyś „Bajkę o człowieku szczęśliwym“.

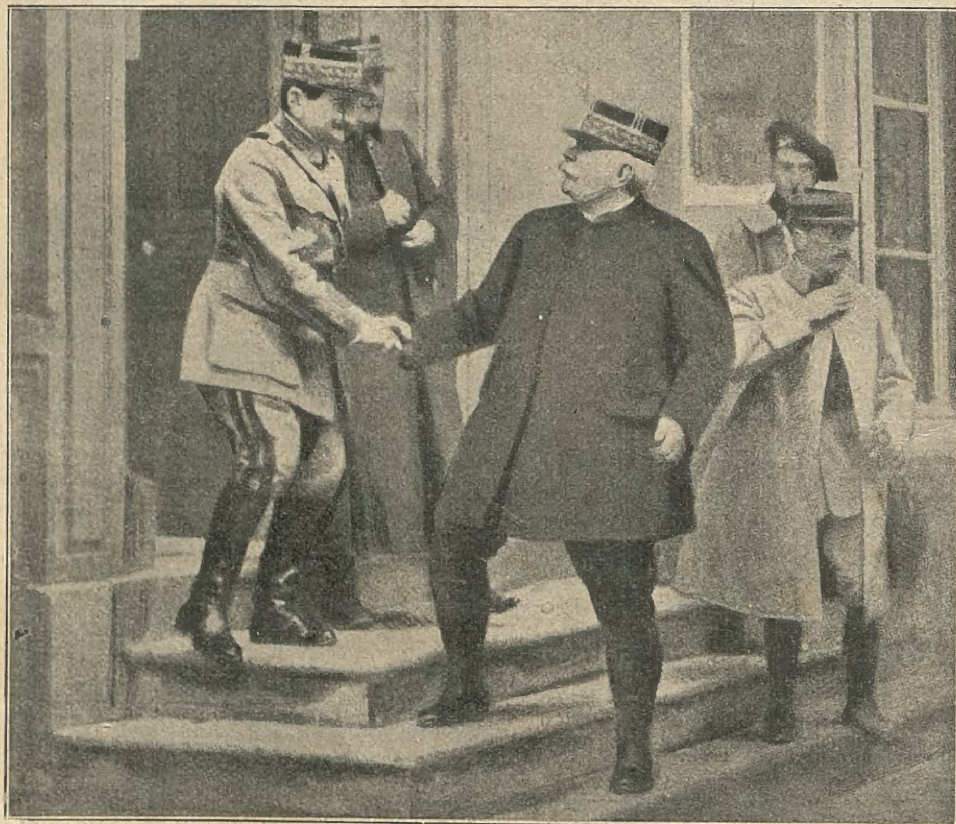
Bajka ta obecnie zajmuje czołowe miejsce w nowo wydany tomie jego opowieści, które objęto wspólnym tytułem tego pierwszego utworu. Czyż w tych drobnych opowiadaniach znajdzie Żuławski jakiś pozytywny środek na szczęście ludzkie? Nie odpowie na to wręcz, ale za to napisze alegoryczną nowelkę p. t. „Jak Don Quichot pogodził Hamleta z Don-Juanem“. Z nowellety tej dowiemy się, że „najwyższą mądrością i jedynym prawdziwym szczęściem na ziemi jest mieć w sobie taką potęgę stwarzania złudzeń, iżby ich żadna rzeczywistość, choćby najbrutalniejsza, zniweczyć nie mogła“.

Tę prawdę mógłby też zastosować do siebie „Zwycięzca“ Jerzego Żuławskiego. Dostał się on na „Srebrny glob“ przemyślną genialnością wynalazczości ludzkiej. Był tu już człowiek ongiś, pozostawił po sobie twórczą legendę, która opanowała serca, umysły ludzi mieszkających tu na księżycowym wybrzeżu. Pozostał w ich wyobraźni, jako dobre i sprawiedliwe bóstwo. Kult dla niego żywią. Arcykapłan strzeże tajemnicy jego mądrości, którą pozostawił po sobie w języku niezrozumiałym dla tłumów, w języku polskim. Narażają się na walkę ze złem plemieniem szernów. I po co? Czy nią to dla legendy. Gdy zjawi się tu znów człowiek, odnajdzie na księżycowym globie dolę i niedolę ludzką. Na ziemi nie inaczej się dzieje. Przemyślna wynalazczość geniuszu ludzkiego nie daje szczęścia. Opanowuje niemożliwości. Zwycięża przestrzeń między ziemią a księżycem, buduje cudowne maszyny i pociski. I cóż wzamian daje za to człowiekowi? Głód szczęścia. Tego głodu nie zapewne nie ukoj. Pragnienia ludzkie rozrastają się i wiodą dusze na prometeiczny bój z przeznaczeniem.

Żuławski tej walce z przeznaczeniem poświęcił życie całe. Pragnął szczęścia dla siebie i dla narodu polskiego. Chciał twórczą swą ręką odwinąć kartę niedoli polskiej. Wyciągnął w pole mieczem znaczyć granice ziemi polskiej. Czy chęć taka i wola nie są podziwu i zainteresowania godne? A w książkach jego stale o szczęście ludzkie zmagają się ze sobą żywioły Dnia i Nocy, demony Piękna i Zła. Blizkie są przez to pokoleniu współczesnemu i znajdują chętnych czytelników. Nowe edycje pism Jerzego Żuławskiego spotkają się też napewno z uznaniem.

E. C.

Zmiana w dowództwie armii francuskiej.

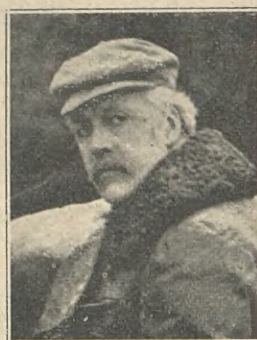


Generał Joffre oddaje dowództwo armii francuskiej generałowi Nivelle. Ostatnie „Do widzenia“ dwóch głównodowodzących.





WILSON, prezydent Stanów Zjednoczonych, wystosował oświadczenie do senatu, w którym powiedział: „Uważam za pewne, że wszyscy dyplomaci zgodzą się, iż winna istnieć zjednoczona, niezależna, niepodległa Polska”.



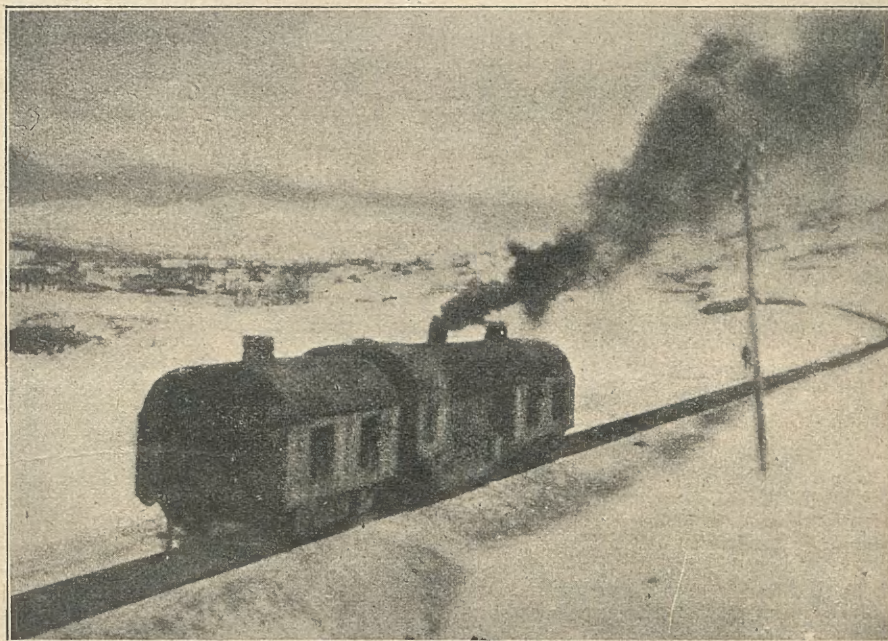
Lord BALFOUR, znakomity polityk angielski, minister spraw zagranicznych, wygotował notę do Wilsona, w której wypowiedział się za przywróceniem pokoju — ale na warunkach koalicji.



SAZONOW, były rosyjski minister spraw zagranicznych, który postanowił zdobyć dla Rosji Konstantynopol, został mianowany ambasadorem w Londynie.

Młoda, pełna uroku i wdzięku artystka teatru krakowskiego rozpoczęła gościnne występy w warszawskim Teatrze Nowoczesnym w doskonałej farsie G. Feydeau „Dama od Maksyma”. Pani Mielewska wstępnym bojem zdobyła sobie publiczność stolicy, wykazując rzetelny temperament sceniczny, szczery humor i swobodę. Zalety te, przy czarujących warunkach zewnętrznych, wróżą młodej artystce, zwłaszcza gdy się pozbędzie nieodłącznej od pierwszych występów tremy, piękne sukcesy.

Na froncie wojennym.



Austriacki pociąg opancerzony na terytorium zdobytej Rumunii.

Z kroniki towarzyskiej.



W kościele Św. Krzyża odbył się d. 30 stycznia r. b. ślub znanego artysty malarza, Henryka Szczygłinskiego, pozostającego obecnie na służbie w wojsku polskim, z panną Felicyą Frydlenderówną, skrzypaczką. Związek małżeński pobłogosławił ks. H. Skimporowicz. Szczęść Boże młodej parze.

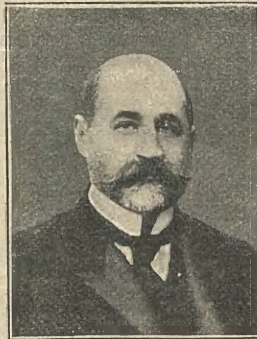
Odpowiedzi redakcji.

Ekade. Wezwanie do tureckiego konia nie nadaje się do „Świata”.

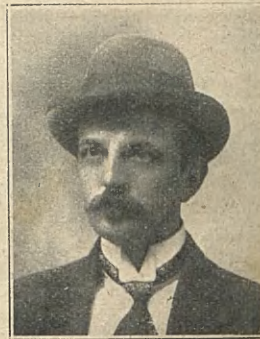
Pierwszy zjazd medyków wojskowych polskich w Warszawie.



Prof. dr. LEON KRYŃSKI, dziekan wydziału medycznego uniwersytetu warszawskiego, prezydujący zjazdu medyków wojskowych polskich.

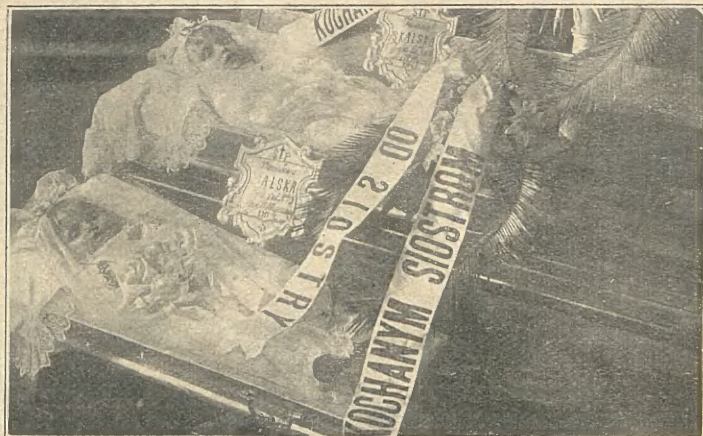
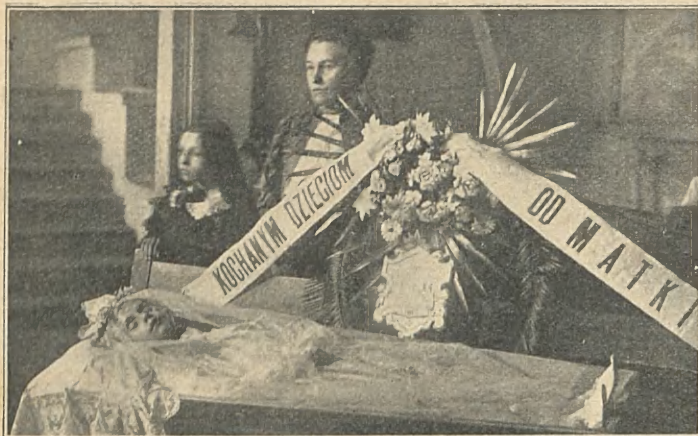


Dr. RADZIWIŁŁOWICZ, zainicjował Wydział Medycyny Wojskowej przy Tow. Med. Społecznej i został wybrany na przewodniczącego pierwszego Zjazdu lekarzy polskich wojskowych.



Dr. LEON WERNIC, sekretarz generalny pierwszego zjazdu medycyny wojskowej polskiej w Warszawie.

ISTNIEJĄCE OD 1805 ROKU
Zakłady Ogrodnicze
C. ULRICH
Warszawa, Ceglana № 11,
zawiadamiają, że wyszedł z druku
Cennik nasion na rok 1917
i na zadanie rozsyłany jest bezpłatnie.

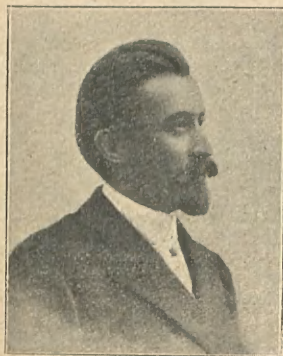


Fot. Maryan Fuks.

Chory handlarz uliczny Skalski zamordował troje własnych dzieci d. 18 stycznia r. b. i usiłował sam siebie zabić.

Ś. p. Kazimierz Skrzetuski.

W dniu 23 listopada r. z. zmarł w 56 roku życia ś. p. Kazimierz Skrzetuski, adwokat przysięgły i obrońca konsystorski, syn ś. p. profesora Władysława Skrzetuskiego, potomka Jana z pod Zbaraża. Po ukończeniu gimnazjum w Lublinie i nauk prawnych ze stopniem kandydata praw na uniwersytecie warszawskim, ś. p.



Kazimierz Skrzetuski pracował w sądzie handlowym jako sekretarz, a od roku 1895 przeszedł na linię obrończą i tu dał się poznać, jako wybitnie zdolny prawnik, jako człowiek o nieskazitelnym charakterze i nieposzlakowanej uczciwości. Obok gruntownej znajomości prawa ś. p. Kazimierz Skrzetuski posiadał niezwykłą łatwość i dar wymowy, którymi wprost czarował słuchaczy, nie szukał jednak nigdy rozgłosu dla swych cennych darów duchowych, jakimi natura go uposażyła, miał bowiem w sobie cechę ludzi o niezwykłym poziomie umysłowym — przedziwną skromność.

Z prac naukowych pozostało po ś. p. Kazimierzu Skrzetuskim kilka rozpraw prawnych, które w swoim czasie wychodziły w „Gazecie Sądowej”, oraz w rękopisach niewydanych, z innych zaś — kilka tomów poezji, które drukował w różnych pismach pod pseudonimem „Kazimierz Jastrzębce”.

Cześć jego świetlanej pamięci!

Ś. p. Helena Arkuszewska.

Po krótkiej chorobie zmarła ś. p. Helena z Zarębskich Arkuszewska dnia 18-go



z ojca Władysława Zarębskiego, żołnierza z r. 1831, który w bitwie pod Grochowem zdobył stopień kapitana gwardyi

grenadyerów. Otrzymałszy jako jedynaczka bardzo staranne wychowanie, wyszła w 17 roku życia za Grzegorza Arkuszewskiego z Helenowa. Przejścia polityczne powodują całą rodzinę do przeniesienia się do Paryża, gdzie podczas kilkunastu lat pobytu ś. p. Helena żywy bardzo bierze udział w pracach kolonii polskiej, dla której gościnny jej dom stał zawsze otworem. Po powrocie do kraju osiada w swym majątku, Dąbrowie Władawskiej, zajmując się wychowaniem sześciorga dzieci, przysparzając nadto czworo nieletnich dzieciąt swego braterstwa.

Ś. p. Helena była uosobieniem pracy i z-pobiegliwości oraz skromności, których mimo świetlanych dni pod wieczór swego żywota nie wyzbyła się nigdy.

Osierociła ona synów Jana z Lubca i Wacława z Przylubka, oraz córki Jadwigę Kaźmierzową Arkuszewską z Pilicy i Stefanę doktorową Bolesławową Kapuścińską z Poznania.

**PIERWSZORZĘDNA SZKOŁA
KROJU I SZYCIA**

Wandy GOGOLSKIEJ

MISTRZYNI CECHOWEJ

BRACKA № 11.

Zapis uczęszczenia codziennie od 9 do 6.

10215

Diadem



Jedynie oryginalne, zaopatrzone w banderole z napisem: „Diadem”.

tu.93

SALMET „MOTOR”

(Balsam Methylii Salicylici comp.)

Używa się przy artretyzmie, reumatyzmie i nerwobólach,

poleca

Warszawskie Towarzystwo Akcyjne „MOTOR”

Marszałkowska № 23.

10200

KAZIMIERZ EHRENBERG

CZASY TERAŹNIEJSZE

Cena rubli 2.20 z przesyłką 2.50.

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

ROMANS I POWIEŚĆ

Tygodnik, poświęcony literaturze nadobnej
i wiadomościom literackim.

Rok IX.

Warszawa, dnia 3 lutego 1917 roku

Nr 5.

Alfred Konar.

POWIEŚĆ.

KARYERY.

15

A Romek przespał pierwszą noc w Jędrzejewicach tak, jak śpią jedynie młodzi; zabici. Zbudziwszy się ze snu, wyskoczył w bieliźnie z łóżka i z dziecęcim zaciekawieniem zaczął się — aby nie być widzianym — do okna.

Dzień był piękny, świąteczny, pełen słońca i ciszy.

Przed zachwyconemi jego oczami zajaśniał — zalany słońcem park Jędrzejewicki, z cudną perspektywą zieleni, cały skąpany w brylantach kilkodniowych deszczów. Na szmaragdowych murawach szumiały liście starodrzewia, po królewsku panoszącego się w uroczych kępach i grupach. W krzakach świergotało ptactwo...

Fioleciły się bzy, srebrzyły kiście rozkwitłych kasztanów, barwiły się w grządkach stokrotki i bratki; a wśród trawników złociły się nie zasiane przez nikogo żółte kwiatuszki. Tu i owdzie ustawione ławki rażyły pustką.

I Romek daremnie szukał z po za firanki swego okna wśród wijącego się przed jego oczami gąszczy szpalerów — srebrnej sukienki swojej królewskiej bajki, z podłużnemi oczami koloru morza...

Stary Tomasz, ustawiając na stoliku jakąś nadzwyczajną wiejską białą kawę ze świeżem domowem pieczywem, objaśniał go, że panie, jak każdej niedzieli — wyjechały dziś do kościoła; że on wprawdzie tutaj do pokoju już kilkakrotnie pukał, lecz ostatecznie nie śmiał po zmęczeniu podróżą być zbyt natarczywym.

Romek z niecierpliwością młodzieńczą ubrał się i pobiegł do ogrodu.

Choć nigdy nie był w Jędrzejewicach, tyle się o nich nasłyszał z opowiadań matki, która urodziła się tu i wychowywała, że znał cały ogród na pamięć; jak gdyby pokutowały w jego duszy przeżyte wspomnienia wszystkich jego dziadów.

I przebiegł bez wytchnienia wszystkie ścieżyny parku, aż do części ogrodu, stykającej się już z sąsiednim laskiem.

Srebrzyły się tu brzozy; a dalej, jakgdyby odarte do krwi ze skóry — czerwieniły się w słońcu sosny, wśród mchów szmaragdowych, całemi szeregami, całe jakby z miedzi lub ze spiżu.

I powrócił znowu do zapuszczonego tarasu z chwiejącemi się schodkami, z kwaterami malw, rezedy, goździków; zajął do klatki ze śmieszna wiewiórką; urwał kilka pierwszych, niedojrzałych jeszcze truskawek i zagłębił się znów w cudach ogrodu.

Przejrzał się w lustrze rzeczułki, wijącej się po łączce, i, minawszy niezbyt pewny most, rzucił na stawie — przedostał się do drugiej części parku, jeszcze bardziej zarosłego, pełnego wierzb, topoli, klonów, dębów i akacji.

W swoim nienasyceniu wiejskiego nowicyusza — dostrzegł hen! w głębi, wśród wzgórz piaszczystych, wyglądającą z po za lasu, pomalowaną już chłopskim gustem na niebiesko — przydrożną kapliczkę.

A dalej biegał się szeregi domostw z żórawiami, ogródkami i całym cha-

rakterystycznym dobytkiem wiejskim, którego niezwykła, swoista malowniczość tak rozczula każdego mieszcza.

I z całą rozkoszą zasiadł na spadzistym brzegu pod starą wierzbą, tuż nad stawem. Zapalił papierosa i wnet jakiś ból za serce go schwylił:

— Co znaczy ten nagły ból bez powodu? Czyżby to były jakieś złe przecucia na samym wstępie do nowego życia?

Czy też drgają w nim poprostu nie osobiste zale, lecz owe bóle, przeżyte przez jego dziadów, tu, w tem samem miejscu pod wierzbą na wzgórzu z widokiem na martwą, lustrzaną taflę stawu?

Tak, tak. Jędrzejewice były bardzo bogate w dramaty miłosne. Słyszał o nich od dziecka. Zdawało się, że jakieś figlarne amorki bujały wśród tych białych brzozy i odartych krwawo ze skóry szeregów miedzianno-spiżowych sosen.

Może pod tą samą wierzbą, tuż nad stawem, tulił ongi w niedozwolonym przez rodzinę uścisku swoją przyszłą żonę biedny wuj Franek? Może szmery tych samych drzew i plusk tej samej rzeczułki, objajającej się od wieków o kamienie — przysłuchiwały się przed laty miłosnym zwierzeniom Henryka i Ireny?

Ptaszki świergotały w krzewinach tak, jak teraz. Figlarne amorki trzepotem kusły do zwierzeń, do uścisków, do zaklęć...

Nie pomagały nic przestrogi stateczne ciotki Benisi, która miłość niedarmo znieawidziła i przestrzegła wiecznie:

— Czyż chcecie koniecznie tryumfu dyabła, który was opętał i który z was się śmieje?

— Biedna ciotka nie potrafi — wzruszali ramionami buntujący się młodzi — odróżnić dyabła od gło-

sów anioła! A gdyby to był nawet dyabeł? Biedactwo! Niech tryumfuje! Z zazdrości o szczęście, którego nigdy nie zazna.

I Romek czuje, że, wbrew sta-
tecznym zasadom biednej ciotki Be-
nisi, solidaryzuje z nimi najzupełniej;
uważałby za nonsens i za najwyższą
hańbę uciekać z tchórzostwa przed
szczęściem.

Śród niezmaconej ciszy tego
ustronnego raju, zajaśniało w samot-
ni marzyciela, śród niebieskość kłę-
bów dymu jego papierosa, jakby w
niebieskiej aureoli — czarowne wi-
dmo główek kobiecej, całej z mgieł i
z obłoków...

Romek począł przypatrywać się
bliżej tej wyśnionej: Była cała ja-
sna. Miała płowo-blond włosy i oczy
przejrzyste, jak ton morza, powłó-
czyste, jak u nikogo; zapamiętał też
niebieskie żyłki na czole i wyraz nie-
biańskiej dobroci i smutku.

Przypomnił sobie uścisk jej dło-
ni, dużej, lecz białej, miękkiej, gorą-
cej, trochę wilgotnej. Wstrząsnął
się. Tak. To Zosia, krewniaczka,
taka sama, jak ongi Irena! To dzi-
wne!

— Przecież nie ucieknę stąd z
obawy, aby w niej nie zakochać się!

Czuł doskonale, że wprost prze-
ciwnie; dusza jego spragniona —
laknie uczucia seryo.

Począł rozmyślać o wczorajszej
wieczery.

I znowu poczuł około serca ów
nieprzyjemny tępy ból, który traf-
nie zanalizował z doświadczeniem
samo-obszerytora, z intuicyą zako-
chanego:

— Tak, tak. Nie mogłem tej się
podołać. To rzecz pewna. To —
lichu skusiło mnie ubierać się spe-
cjalnie dla niej w czapkę białą,
w której może być do twarzy jedy-
nie urodzonym kłownom a nie takie-
mu grabarzowi, jak ja.

I drżał z niecierpliwości, aby już
jaknajprędzej mógł przedstawić się
jej w innej szacie, niż w tej wczor-
ajszej, anormalnej, w podnieceniu
ekscytacji podróźnej.

— A może ona jest wogóle zu-
pełnie inna, niż mi się wczoraj w
transie podróźnym wydała? Może i
ona była wczoraj tak, jak ja, jeno
z lepszym gustem, w nieswoje szaty
przebrana? To byłoby najlepiej. Ta-
kie zawracanie sobie głowy jest o-
statecznie żakostwem!

Nareszcie całe towarzystwo po-
wróciło z kościoła. I całe Jędrzejewi-
ce napelnily się gwarem i ożywie-
niem, tak charakterystycznym przy
powrocie z kościoła, zabarwiającem
monotonie życia wiejskiego zmianą
wrażen, odczuć i obserwacji.

Rozprawiano o kazaniu księdza

o pijaństwie, które to nauki przyję-
ły z największymi jękami i zawodze-
niem najtrzeźwiejsze z parafii kobie-
ty. Mała Hala na cały głos się roz-
plakała i poprzysięgła, że nigdy już
nie będzie jadła czekoladek z likwo-
rem; pijacy zaś, widocznie zrażeni,
niby niezależni od samych siebie ka-
lency — jakgdyby uważali, że nie na-
leży ich dotykać, jeżeli na ich gar-
by lekarstwa skutecznego niema; za-
ciskali też ze złym uporem usta.

Rozprawiano o wizycie na pleba-
nii, o różnych spotkaniach i o są-
siedzkich ploteczkach i komerażach.

Na Romka — z inicjatywy ciot-
ki Benisi, zwracano mniej uwagi,
chcąc mu dać widocznie do pozna-
nia, że przyjęli go wprawdzie wczoraj,
jako gościa i krewnego pod wa-
runkiem, aby i on pamiętał, że od
dnia dzisiejszego jest już płatnym ko-
repetytorem.

Ciotka Benisia po zastanowieniu
się zakonkludowała, że należy krótko
trzymać młodzieńców.

Romek doskonale zrozumiał to
swoje osamotnienie w obcym boga-
tym domu; i na sercu bardzo smutno
mu się zrobiło. Spojrzał na Zosię.
I naraz polubił ten swój smutek dzi-
siejszy — stokroć więcej, niż wczoraj-
sze ożywienie.

Zosia w białej sukni, w słomia-
nym kapeluszu z polnemi kwiatami,
pod niebieską parasolką, która jakie-
miś refleksami obłoków otaczała nie-
bieską aureolą jej jasną główkę o
przezroczystej twarzy z niebieskie-
mi żyłkami i o wielkich kameleono-
wych oczach — wydawała mu się
stokroć piękniejszą, niż wczoraj.

Powiedział też sobie wnet jak-
najtrzeźwiej i jaknajpozytywniej:

— Kocham ją. Dlatego też na-
wet wcale osądzić nie mogę, jaka
ona jest. Bo każdy ruch jej i gest,
każde spojrzenie — wydaje mi się in-
nem, niż u wszystkich; i przejmuję
mnie już nie tylko jakimś kultem, lecz
prosto wzruszeniem.

Uparcie spragniony ująć tę wi-
zy z mgieł i obłoków w jakiś kształt
konkretny, zakonkludował — zmę-
czony tą pracą wyobraźni:

— Wiem: To jedwabista, nikła
lilia, nenufar z białą główką, na wiot-
kiej łodyżce. Cała w półtonach; pół-
piękność w półśmiechach, w półwe-
selości; mówiąca półgłosem, półdo-
wcipami, nigdy nie „zgrywająca
się“; nigdy w niczem dwa razy nie
podkreślona.

Przypomnił sobie wzruszający
go w cudnej naiwności jej półgigiel,
kiedy na pół rozbawiona, całując
matkę, włożyła jej za szyję pod bluz-
kę świeżo zerwaną różę, za co roz-
kochana w niej matka miłośnie jej
półpsotę zgromiła.

I półwybuchy jej półśmiechu,
kiedy po chwili, przekomarzając się
z mademoiselle Céleste, nie chciała
zaciekawionej oddać listu, tylko co
nadeszłego z pocztą; z cudną jednak
delikatnością i charakterystyczną jej
miarą — nie przewlekała ani na se-
kundę żartu, który mógłby dotknąć
lub razić.

I Zosia z wrodzonym darem pa-
nieńskim, nie patrząc na niego, nie-
dostrzeżona — zdołała jednak roz-
poznać go całego od stóp do głowy:

Teraz po powrocie z kościoła —
wydał jej się znacznie przystojniej-
szym, niż poprzedniego wieczoru, w
którym osądziła go stanowczo zbyt
ostro.

Był faktycznie bardzo przystoj-
nym ze swoją cienką sylwetą wy-
smukłego, delikatnego brunecika o
złotawo-oliwkowej cerze, z dużemi
aksamitnemi oczami o piwnych źre-
nicach i o złotych prawie białkach,
z wargami po kobiecemu wykrojone-
mi, przyprószonemi młodzieńczym
wosem, nieco jaśniejszym od włosów
na głowie. Zresztą jakiś przesadny
smutek, który naraz z młodzieńczą
niedyskretyą owionął go całego od
stóp do głowy, posiadał — rzecz
prosta — daleko więcej dla niej cza-
ru, niż jego wczorajsze zadowolenie
i bezmyślne anegdotki.

Nie solidaryzowała też w zupeł-
ności ze zmianą postępowania z nim
całego towarzystwa, na której się
odrazu poznała. Uważała ten nagły
przeskok od wczorajszej serdeczno-
ści za zbyt brutalny i za zupełnie
niewłaściwy. Pojęła, że osamotnie-
nie, w jakim naraz się tu poczuł —
musiało wpłynąć na tę nagłą zmianę
jego usposobienia; odgadła, że mu-
siało doskonale na tej zmianie kursu
poznać się.

A głównie gnębiła ją myśl, że
ona nie potrafi okazać mu, iż nie so-
lidaryzuje w zupełności z tem ich po-
stępowaniem i że on może uważać ją
za współniczkę tego niesprawiedli-
wego spisku przeciwko niemu.

I jedynie bardzo doświadczona
w cienkościach dziejów miłosnych
mademoiselle Céleste — czytała w
sercach dwojga młodych, jak w
otwartej książce. I zła, jak osa, iż
na tem nudnem wiejskim bezrybiu
wymyka się jej jedyny rak, w posta-
ci młodego chłopca, który ponad o-
czekiwanie wydał jej się przystoj-
nym — zasyczała w głębi:

— Oh! là, là! Teraz rozumiem,
dlaczego on na mnie nie patrzy; za-
chciało mu się platonizmu z kuzynką!
Cette fichue de Sophie nadaje się
bardzo do takich uczuć. Nie ma wca-
le piersi! — Zaklęła jakąś bulwaro-
wą kłatwą. — Ah! Bien, en voilà du

guignon! Takie młodzieńcze uczucia na seryo, — to puklerz ze spiżu, trudniejszy do zdobycia, niż forteca starości.

Po obiedzie skorzystała z przysługującego jej niekiedy zwyczaju wymawiania się migreną. Mogła wtedy usuwać się aż do wieczora do swego pokoju, w którym wypisywała do Francyi rozpaczliwe listy, w ja-

ki sposób „on crève d'ennui dans ce pays barbare“.

Następnej niedzielę po obiedzie, kiedy Tomasz uszykował już do świątecznego bridża, do którego — rzecz prosta — nie zapraszano młodego guwernera — ciotka Benisia proponowała panu Rudnikowi; (według już zadecydowanego ceremoniału — postanowiono tak nazywać ko-

repetytora, krewnego o siódmej wodzić po kisielu), czyby nie zechciał dla zbliżenia się ze swymi uczniami — udać się na spacer przez park do sąsiedniego lasu, którego zapewne jeszcze nie zna; następnie mogliby przejść przez łąki na wieś, aż het! koło młynów do karczmy.

Dalszy ciąg nastąpi.

RABINDRANATH-TAGORE ¹⁾.

Pieśni ofiarne.

I.

*Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata
Zbór wielki dzieci. Bez chmurnego płata
Zawisło niebo kregiem na przestworze —
Lecz — niespokojne i szumiące morze.
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata
Zbór wielki dzieci — hasa, figle płata.*

*Domki buduje sobie dziatwa z piasku,
Muszelki zbiera, mieniające się w blasku, —
Wachlarzykami swe małe okręty
Niecąc, ze śmiechem wpędza na odmęty:
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata
Dziatwa wesola w pomysły bogata.*

*Pływać po morzu nie umieją dzieci,
Ani nie wiedzą, jak zarzucać sieć...
Szukacze pereł nurkują głębina,
Kupcy na statkach w daleki świat płyną,
Podczas gdy dziatwa z wesołym szczebiotem
Skorupki zbiera — by je rzucić potem:
Ukrytych skarbów nie szukają dzieci,
Ani nie wiedzą, jak zarzucać sieć...*

*Morze wybucha śmiechem: biała piana
Na brzeg się toczy, wciąż rozchychotana.
Fale, śmierć w kółko wynosząc na szranki,
Śpiewają dzieciom długie kołysanki,
Właśnie — jak matka, gdy z jednego wątka
Kołyskę buja swojego dzieciątka:
Morze się bawi z dziećmi: biała piana
Na brzeg się toczy, wciąż rozchychotana.*

*Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata
Zbór wielki dzieci. Burza kołowata
Tam na dalekim niebios firmamencie
Gromami huczy, — w bezdrożnym odmęcie
Statki się kruszą i, jak piórka, trawia, —
Śmierć stapa falą — a dzieci się bawia —
Na morskiej łasze bezbrzeżnego świata
Zbór wielki dzieci...*

II.

*Był czas, gdy nie wiódł dla Ciebie uprawy —
I oto, serce i wzrok mój nieprawy
Kiedym niósł w tłumie i z tłumem zmieszany,
Tyś, Panie, wtedy jeszcze mi nieznaną,
Wycisnął sygnet wieczności na wielu
Chwilach mojego przelotnego celu.*

*Dziś, kiedy światłem już przejrzałem święciej
I odczytuję rysy Twojej pieczęci,
Widzę, że wszystkie te minione chwile
Leżą zmieszane i w kurzu, i w pyłe,
Smutków, radości sypiąc się pamięcią
Dni moich — z Twoją, o, Boże, pieczęcią!*

*Ale Tyś lica nie odwrócił w blasku
Ze wzdargą od tych moich zabaw w piasku,
I kroki, które-m był słyszał w pokoju
Moim dziecięcym, tajemne w zestroju,
Są to te same, które dziś wyżyną
Twoją echami od gwiazd do gwiazd płyną.*

III.

*Rankiem mój wietrzyk wyszeptał pobudkę,
Że popłyniemy razem z Tobą łódką,
Jedno ja z Tobą — i już o tej zmowie
Żadna się dusza na ziemi nie dowie,
O tem pielgrzymstwie naszym w kraje słońca,
Ach, nie do brzegów — ale już bez końca.*

*Na tym bezbrzeżnym blasków oceanie
Ty będziesz słuchać z milczącym uśmiechem, —
A moje pieśni, jak światła wylanie,
Popłyną jednym miłości oddechem,
Wolne, jak fale, i wolne, jak skrzydła,
Wolne od ziemi i od słów wędzidła.*

*Więc chwila jeszcze ta nie przyszła złota?
Więc ciągle jeszcze tutaj ta robota?...
Oceanowy brzeg gaśnie w zamięci
Pyłów słonecznych, i zmierzch już zapada —
W stygnącym świetle pospieszna gromada
Morskiego ptactwa do gniazd swoich leci...*

*I któż wie, kiedy nadbrzeżna i krucha
Łódź wieży swego odczepi łańcucha —
I, jak ostatni szmer słońca na fali,
Zadrgnie i zniknie w nieprzejranej dali?...*

JÓZEF JANKOWSKI.

¹⁾ Poeta hinduski, laureat nagrody Nobla. Większy wybór tych pieśni ukaże się niebawem w wydaniu książkowym.

Zmartwienia Pana Hamelbeina.

Komedia w 3-ach aktach.

5

AKT II.

Gabinet w mieszkaniu Leńskiego. Na lewo drzwi do przedpokoju, na prawo — do dalszych pokoiów, w głębi — duże drzwi rozsuwane do salonu. W gabinecie meble angielskie, safianowe, wygodne. Biurko. Na ścianach obrazy, niektóre treści frywolnej. W wazonach dużo kwiatów.

SCENA 1.

LEŃSKI — SŁUŻACY.

LEŃSKI (*w smokingu, wychodzi z prawej strony, za nim służący w liberyi, — który zostaje przy drzwiach*). Zdaje mi się, że wszystko w porządku.

SŁUŻACY. Tak jest, jasnie panie.

LEŃSKI. Skoro przyjdą muzykanci z kwartetu, usadowisz ich zaraz tam, w salonie, przy fortepianie (*gestem wskazuje drzwi w głębi*). Otwórz drzwi do przedpokoju... (*sieda wygodnie w fotelu i zapala papierosa. Służący tymczasem idzie do drzwi na lewo i roztwiera je*). Jeśli teraz odezwie się dzwonek, nie fatyguj się. Ja sam otworzę.

SŁUŻACY. Rozumiem, jasnie panie.

LEŃSKI. I nie wolno mi przeszkadzać... pod żadnym pozorem! Zamknij drzwi od salonu na klucz (*służący wykonywa rozkaz*). Jeśliby nadszedł kto z gości, dasz mi znać tędy (*ręką wskazuje drzwi na prawo*). Zapukasz lekko... Rozumiesz?

SŁUŻACY. Rozumiem, jasnie panie.

LEŃSKI. To wszystko... (*w przedpokoju dzwonek, Leński powstaje żywo. Służący, zapomniawszy o instrukcyach, biegnie do przedpokoju, lecz po drodze Leński chwycił go za kołnierz i osadza na miejscu*). Cóż za bałwan! Tak pięknie mię zrozumiałeś? Umykaj... (*pchnął go w stronę drzwi na prawo, sam spieszy na lewo*).

SCENA 2.

LEŃSKI — KRYSTYNA.

LEŃSKI (*wprowadza Krystynę, w płaszczu futrzanym, na głowie szal koronkowy*). Posiada pani cnotę królewska. Punktualność!...

KRYSTYNA (*z trudnością tai niepokój i pomieszanie*). Dotrzymuję zawsze słowa. Choć to szaleństwo doprawdy niepotrzebne. Jeśli kto przyjdzie wcześniej!...

LEŃSKI (*prowadzi ją do małej kanapy, zdejmując okrycie, które rzuca na fotel obok*). Niech pani sieda tu... wygodnie, i żadnych obaw! Wszystko przewidziane i zabezpieczone. W tym lokalu kobieta może stracić cnotę. Nigdy — reputacyi.

KRYSTYNA (*już potrochu odzyskała swobodę, śmieje się*). Zamek Don Juana, o stu i jednym wyjściach. Czy są także korytarze podziemne?

LEŃSKI. Wie pani, jestem w tej chwili naprawdę szczęśliwy. Po raz pierwszy jestem z panią sam... po za oczyma obcych. Brak mi do zupełnego szczęścia tylko jednej rzeczy... (*Krystyna pyta go wzrokiem*). Żeby tamci wszyscy nie przyszli.

KRYSTYNA (*zerwała się, przerażona*). Jakto, oni mogą nie przyjść?

LEŃSKI (*nie wstając, przytrzyma ją za rękę i sadza z powrotem na kanapie*). Niech się pani nie lęka! Przyjdą! Przyjdą za wcześnie. Próba generalna, w kostymach! Nikt nie chybi! Pudła z sukniami już czekają. Co za radość, przebierać się w garderobie Leńskiego! Sprawdzają wszystkie moje flakony, zajrzą do każdej komody. Musiałem wówczas zrobić gruntowną rewizję.

KRYSTYNA (*śmieje się*). Żeby się nie znalazł jakiś kompromitujący penjoar!...

LEŃSKI. Pani ma o mnie bardzo dobrą opinię. Niestety! W rzeczywistości...

KRYSTYNA. Niech pan nie udaje skromnego.

LEŃSKI. Wcale nie udaję. Jest jeszcze w mieście dość burżuazek, które chciałyby zaspokoić ciekawość, jak to z tym Leńskim...

KRYSTYNA. Jest pan wstrętny!

LEŃSKI (*kończy*). Ale drzwi zamknięte. Starszemu panu coraz mniej kobiet się podoba. Czy pani uważa, że dawniej było daleko więcej ładnych kobiet?

KRYSTYNA. Przeciwnie... Nigdy nie spotykałam tyle pięknych...

LEŃSKI (*melancholijnie*). Tak wszyscy mówią, a mnie się wydaje inaczej. I jeszcze coś gorszego. Stałem się sentymentalnym. Szukam miłości.

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). I to ma być źle?

LEŃSKI. Starzeję się.

KRYSTYNA. Pan ciągle kokietuje swoim wiekiem, a przecież sam pan wie najlepiej... (*urwała*).

LEŃSKI. Że co?

KRYSTYNA (*po chwili wahania*)... że pan się podoba.

LEŃSKI. Na seryo... mógłbym się podobać pani?

KRYSTYNA (*j. w.*). Na seryo?.. Nie wiem, jak pan to rozumie. Ale to wiem, że dla pana zrobiłam pierwsze w życiu szaleństwo.

LEŃSKI. Że pani zgodziła się, przyjść przed innymi, porozmawiać trochę ze starym przyjacielem?

KRYSTYNA. Naprzód — nie jest pan stary, a potem — przyjaźń nasza jest bardzo świeża.

LEŃSKI (*niedbale*). Nie chce pani wypić kieliszka wina? Zanim tamci przyjdą?

KRYSTYNA (*porywczo*). Nie... nie!...

LEŃSKI. Ja mam takie pragnienie.

KRYSTYNA (*obojętnie*). Niech się pan napije.

LEŃSKI (*wstaje*). Panj pozwoli? (*idzie na prawo i za chwilę przynosi butelkę szampańskiego wina, przysłoniętą serwetą i widocznie zawczasu przygotowaną, oraz dwa płaskie kieliszki*). Zakazałem słuzącemu, żeby tu wchodził... (*stawia butelkę i szklaneczkę na małym niskim stoliku i nalewa*).

KRYSTYNA (*postrzegłszy, że napelnia oba kieliszki*). Ja nie będę pila.

LEŃSKI. Dobrze... dobrze... (*trąca o jej kieliszek*). Niech pani chociaż umoczy usta.

KRYSTYNA (*przytknęła szklaneczkę do ust, odstawiła ją i śmieje się w milczeniu*).

LEŃSKI. Z czego się pani śmieje?

KRYSTYNA (*przekornie*). Czy ta butelka szampana figuruje zawsze w programie akcyj zaczepnej?

LEŃSKI (*śmieje się*). Jaka pani podejrzliwa! Gdy się odczuwa pragnienie, trzeba się napić. Innego wyjścia z tej sytuacji dotychczas nie wynaleziono... Droga panj na około siebie widzi zdradziecką sieć intryg i podstępów... Prawda? Czuwaj, złota rybko, abyś nie wpadła w łapy chytrego i przebiegłego rybaka.

KRYSTYNA (*poważnie*). Wcale nie. Mam przekonanie, że pan jest człowiekiem, któremu można ufać.

LEŃSKI. Ufać! Nie mogła pani znaleźć przykrzejszego słowa! Niestety! Ja już budzę zaufanie! Jestem odpowiednią do zwierzeń. Młode mężatki przychodzą do mnie spowiadać się ze swoich trosk i prosić o radę. A czy pani wie, że w takiej starej wierzbie dyabeł zapala czasem ogień? I stara wierzba duma wówczas o wiosnie, kiedy gałęzie jej były strojne w świeżą zieleń, kiedy w bujnym jej listowiu radowały się miło-

śnie małe ptaki. Nie dla ciebie już ten świergot weselny!...

KRYSTYNA (*z uśmiechem, ale nie umiając się obronić sympatyj*). Czy pan o niczem innem nie myśli?

LEŃSKI. Droga pani, wyrzec się tego, co jest w życiu najcudniejszem, — ciężko! Najcudniejszą rzeczą w życiu jest młodość. A czy młodość da się pomyśleć bez kochania? Człowiek w moim wieku szuka miłości, tak jak człowiek, który to nie, szuka deski.

KRYSTYNA. Panie! Ja chyba nie jestem podobna do deski?

LEŃSKI (*śmieje się*). Nic a nie! (*trąca w jej szklaneczkę, ona już zapomniata o swem postanowieniu i pije*). Niech się pani nie dziwi starszemu panu, że się broni przed ostateczną rezygnacją... Pani wie, polska jesień miewa nieraz słoneczne dni, pełne dziwnych woni i uroku. Zdaje mi się, że przy pani i przez panią mógłbym przeżyć jeszcze taki rozkoszny dzień!

KRYSTYNA (*zalogotnie*). Tylko jeden dzień?

LEŃSKI (*nalewa kieliszki*). Taki dzień trwa długo, bo jest ostatni przed zimą... przed śmiercią.

KRYSTYNA (*pije*). Pan jest bardzo miły.

LEŃSKI (*całuje ją długo w rękę*). Naprawdę?

KRYSTYNA. Tylko nie mogę zrozumieć, że pan o niczem innem nie myśli...

LEŃSKI. Tak... jestem zupełnie bezużyteczny. Żadnych instynktów społecznych, żadnych ambicji... Jestem trochę artystą, ale tylko w jednym kierunku.

KRYSTYNA. W jakim?

LEŃSKI. Mojem pragnieniem zawsze było uczynić z miłości rzecz piękną... Pani kocha swego męża?

KRYSTYNA. Tak.

LEŃSKI (*z autorytetem*). Taką miłość można przyrównać do krzaku polnej róży, co wzrósł, zasiany przypadkowym podmuchem wiatru, samorzutnie... jak Bóg dał. Ja pielęgnuję moje kwiaty w cieplarni. Stwieram się, żeby były pełniejsze, żeby miały największe bogactwo barwy i zapachu. To, co pani przeżywa z mężem, jest naturalne, ładne i powszednie. Życie nie da nigdy tych wrażeń, jakie stwarza sztuka.

KRYSTYNA (*zalogotnie*). Kusiciel! (*pija*).

LEŃSKI. Jakie pani ma cudne oczy! Patrząc w oczy pani, doznaję zawsze tego samego, uporczywego wrażenia, że tkwję w nich blask słonecznego ranka lipcowego (*bierze jej rękę w swoje dłonie*). Gdyby pani była bardzo... bardzo dobra, uczyniłaby mi pani jedną łaskę.

KRYSTYNA. Jaką?

LEŃSKI. Nie śmiem powiedzieć.

KRYSTYNA. Tej cnoty w panu nie podejrzewałam.

LEŃSKI. Wobec pani tracę pewność siebie.

KRYSTYNA. Mam pana zachęcać?

LEŃSKI. Pozwoliłaby pani pocałować się choć w jedno z tych ślicznych oczu.

KRYSTYNA (*śmieje się zalogotnie*). Tylko w jedno?

LEŃSKI. Powiedziałem: choćby!

KRYSTYNA. Pan nie jest wyimagający!

(*Leński trzyma ją za rękę, spogląda proszącym wzrokiem. Ona uśmiecha się, zmieszana. Leński pochyla się ku niej, a gdy nie spotyka silniejszego oporu, przyciąga do siebie i nagłym ruchem całuje mocno w usta*).

KRYSTYNA (*wyrwała się i wstała, zła*). Panie, miał mi pan pocałować w oczy!

LEŃSKI (*pokorny*). Przepraszam... pomyliłem się.

(*Stoją przez chwilę naprzeciw siebie. Krystyna zła, on pokorny, — w kątach jej ust błąka się jednak już uśmiech*).

KRYSTYNA (*oficjalna*). Obawiam się, że nie będę mogła doczekać się pańskich zaproszonych.

LEŃSKI (*usiłuje wziąć ją za rękę, ona cofa ją*). Pani się gniewa?

KRYSTYNA (*szczerze*). Tak.

LEŃSKI. Niechże pani zrozumie... Zgodziła się pani przyjść...

KRYSTYNA. Zrobiłam źle.

LEŃSKI. Ale już tego odrobić nie można. Stało się.

KRYSTYNA. Przepraszam... nic się nie stało...

LEŃSKI. Nie wyobrażałem sobie, iż pani umie być taką złą...

KRYSTYNA. To pan mię wcale nie zna...

LEŃSKI (*siadł w fotelu*). Szkoda!... (*zapala papierosa*).

(*Krystyna idzie z wolna do krzesła, na którym leży jej płaszcz, i nakłada koronkę na włosy*).

(*W drzwiach z prawej strony odzywa się pukanie*).

KRYSTYNA (*przerażona, półgłosem*). Co to jest?

LEŃSKI (*porwał się z fotela*). Nie wiem (*idzie do drzwi*). Kto tam?

SLUŻACY (*z za drzwi*). To ja, proszę jaśnie pana.

LEŃSKI (*zły*). Czego chcesz? Mówiłem ci, że nie wolno mi przeszkadzać.

SLUŻACY. Proszę jaśnie pana, przyszła jedna pani i powiedziała, że ma bardzo ważny interes. Powiedziałem, że jaśnie pana nie ma w domu. Ona powiedziała, że jaśnie pan musi być i dała mi kartkę. Ja powiedziałem, że zobaczę, czy jaśnie pan nie wrócił.

LEŃSKI. Daj tę kartkę... (*wysunął rękę przez uchylone drzwi, wziął bilecik i czyta z widocznym zdziwieniem*). Nic nie rozumiem.

KRYSTYNA (*strwożona*). Co się stało?

LEŃSKI (*nachmurzony*). Nie wiem... Pani pozwoli, że na moment wyjdę do salonu.

KRYSTYNA (*j. w.*). Chce mię pan zostawić samą?

LEŃSKI (*po chwili wahania, zdecydował się*). Niech pani czyta... (*podaje jej bilet*).

KRYSTYNA (*czyta głośno*). Ewa Hamelbein... Idzie o mój honor... muszę z panem natychmiast pomówić... (*do Leńskiego*). Co to ma znaczyć?

LEŃSKI (*niezadowolony*). Niech mię dyabły wezmą, jeśli rozumiem. Ja nie mam nic wspólnego z jej honorem.

KRYSTYNA. Musi pan wyjść... Ale co ja zrobię?

LEŃSKI. Niech pani wejdzie tu... (*wskazuje drzwi na prawo*). (*Krystyna zawahała się*). Niech pani się nie lęka... Ja wprowadzę ją temi drzwiami (*wskazuje na drzwi w głębi*), zamknę, a pani wtedy przejdzie do salonu. Tam już są muzykanci.

KRYSTYNA (*niezupełnie zdecydowana*). Dobrze (*bierze płaszcz na rękę*).

LEŃSKI (*idzie do drzwi na prawo i uchyla je*). Powiedz tej pani, że zaraz przyjdę.

SLUŻACY (*z za drzwi*). Słucham jaśnie pana.

(*Leński daje znak Krystynie, by podeszła*).

KRYSTYNA (*zbliżyła się doń*). Wie pan... Ja wolę przejechać się do rożką i wrócić, gdy już będzie więcej gości.

LEŃSKI (*z wyrzutem*). Nie ufa mi pani?

KRYSTYNA (*filuternie*). Gdybym powiedziała, że ufam, obraziłabym pana. Gniewa się pan na mnie?

LEŃSKI. Przed kwadransiem zdawało mi się, że — jak Faust — jestem w posiadaniu eliksiru młodości. Teraz mam sto lat.

KRYSTYNA (*podsuwa mu z uśmiechem rękę do ust*). Znajdzie pan ów eliksir gdzieindziej (*Leński całuje jej rękę*). Można? (*wzrokiem pyta, czy może iść na lewo*).

LEŃSKI (*zarzucił jej płaszcz na ramiona, a potem idzie szybko do drzwi na lewo, zajrzał do przedpokoju*). Niech pani idzie.

(*Krystyna szybko wychodzi na lewo, Leński za nią. Po chwili Leński wraca, zamyka za sobą drzwi na klucz, idzie do drzwi w głębi, ostrożnie przekęca klucz, żeby nie było słychać, — otwiera drzwi*).

Dalszy ciąg nastąpi.

Dziwne praktyki pana Filipskiego.

Antoniowa była wielce zdumiona, gdy podawszy panu Filipskiemu garnuszek rannej kawy z dobrze przydymionym mlekiem, nie usłyszała należącego za to „hałasu”.

To ją ośmieliło, że zdobyła się na samooskarżenie:

— Trochę się, proszę pana, to mleko dziś — — —

— Nie trochę, moja Antoniowo, ale porządnie jest „z księdzem”! — fuknął wesoło pan Filipski.

Ale pił dalej bardzo chciwie. Dopiszy do końca, poklepał Antoniową po plecach i rzekł:

— Jutro Antoniowa da mi na rano samą kawę, bez mleka.

Antoniowa zawrzała świętem oburzeniem:

— Przecie jutro nie będzie się musiało mleko znów — — —

— Nie idzie wcale o przydymienie, moja Antoniowo: i gorsze mleko można wypić. Ale od jutra przez kilka dni będę pił na rano dwie szklanki kawy czarnej.

A widząc rozwarłe źdźwiżeniem (pan Filipski, człowiek dbały o stan swoich nerwów, niechętnie wogóle pijał czarną kawę) oczy swej gospośi, dodał wymijająco:

— Widzi Antoniowa, doktor mi zalecił...

Nazajutrz Antoniowa była w nowych opałach. Mleka nie zagotowywała, więc przydyć się nie mogło, ale zdarzyło się coś innego. Oto w dbałości o zdrowie swego chlebowadcy, nie chcąc panu Filipskiemu dawać tak dużej dozy mocnego napoju, umyśliła Antoniowa moc jego — wygotować. Gotowała więc, gotowała, aż więcej, niż połowa zawartości wybuchowała na blachę... A była to akurat reszka zapasu kawy! Nie czas było schodzić na dół do sklepu, doprawiła więc naprędce do pełna cykoryą, zaala wodą wrzącą i podała.

Pan Filipski ledwo umoczył usta, skrzywił się potężnie.

— Czy za mocna, proszę pana?

— Gdzie tam!

— Może za gorzka?

— Dyabła tam! Stała i kwaśna: obrzydliwa lu — — —

Już chciał odstawić szklankę machinalnym ruchem, ale uśmiechnął się i począł pić dalej z zupełnym zadowoleniem.

Wypiwszy, znów poklepał Antoniową i rzekł:

— Jutro może kawa być jeszcze słabsza i kwaśniejsza...

Nazajutrz—nowe nieszczęście! Przy drugiej szklance zbrakło cukru? Antoniowa z tego wszystkiego postradała całkiem głowę: zapomniała dziś kupić... Zerwała się więc...

Ale pan Filipski ją zatrzymał.

— Nie potrzeba. Bardzo dobrze właśnie...

I z błogim uśmiechem na twarzy, wypił drugą szklankę kawy bez cukru. Późem kazał sobie przygotować taką samą porcję na kolację. I zamiast bia-

łego pieczywa, które zwykle na wieczór jadł, bochenek chleba kartkowego — pierwszy od chwili wprowadzenia.

— Ojej, zaskodzi panu! — przerażała się Antoniowa.

— Tyle ludzi je chleb kartkowy i żyje — filozoficznie zauważył pan Filipski. — Może gorszy jeszcze jedzą... — dodał znacząco.

Idąc na spoczynek, zażądał od Antoniowej, by mu przyniosła budzik swój z kuchni i nastawiła go na czwartą rano.

— Na kolej pan jedzie?

— Nie... — zażenował się zlekka pan Filipski. — Może Antoniowa nie wstawać. Mam pilną robotę w domu do wykonania. Proszę Antoniową nawet, żeby się nie budziła — dodał po chwili tonem stanowczym.

Posłuszna poleceniu, tej nocy nie wstawała. I drugiej również. Ale na trzecią, wiedzioną niezwalczoną ciekawością, pobiegła do stróżki, pożyczyla drugiego budzika dla siebie i nastawiła go także na czwartą. Ubrała się spieszenie, podkraśla się cichutko pod drzwi chlebowadcy i jąła podglądać.

W kilka godzin później, około południa, opowiadała stróżce z wielkiem przejęciem, co następuje:

— Wstaję ja dziś o czwartej, moja pani, mroz na dworze, w pokojach nie- napalone (nie dał pan palić z wieczora, że to tyle ludzi w polu jeszcze gorzej ziębnie, powiada...), a mój panisko ubrał się w paletot, dygoce z zimna i stoi w kącie wyprostowany z kijem na plecach. Budzę się jeszcze raz o piątej, zachodzę, a on stoi. Zachodzę koło szóstej — furt stoi! Moja pani, słyszane rzeczy? Na czterdziestkę mu idzie, a takie praktyki dziwne odprawiał...

Sensacya Antoniowej doszła do najwyższego napięcia, gdy w dwa dni potem pan Filipski wychodząc do biura zady- sponował na obiad zamiast mięsa — dwa

śledzie i porcję kartofli. Nazajutrz kazał jeszcze tę porcję pomieszać pół na pół z brukwią! Antoniowa patrzyła z przerażeniem, gdy pan Filipski jadł i jeszcze sobie chwalił.

Ale już koroną tych dziwnych „praktyk” było dane pod koniec tygodnia polecenie, by Antoniowa ani na obiad, ani na kolację, ani na śniadanie dnia następnego nie szykowała nic dla pana Filipskiego.

Gdy nadszedł pierwszy zamówiony posiłek, pan Filipski ociągał się jeszcze dobrą godzinę ze spożyciem, a gdy jadł, twarz jego jaśniała dumą zadowolenia.

Wstając od stołu, mruknął do siebie kilkakrotnie:

— To wszystko nie jest wcale takie trudne...

I ze szczerzej uciechy, zaczął nucić zasłyszana chłopską melodyjkę:

„Pod Krakowem czarna rola
Ja jej — — —”

Przy strofco o „pierścionku, którego nosić nie będzie” przywołał Antoniową i ku nieopisanej jej radości zadysonował na jutro normalny, wręcz suty obiad, tłómacząc, że od dziś wieczorem będzie „na urlopie”.

Niebardzo zrozumiała pocziwa gospośi, o jaki to urlop ma chodzić — niemniej nazajutrz, około południa, dzieliła się ze stróżką radosną nowiną, że z panem jest już zupełnie dobrze, że będzie miał dziś kotlet cielecy z marchewką na obiad, że tylko dziwi ją to, iż pan, jak tylko ona wróci od sprawunków z miasta, zaraz ją przywołuje i dopytuje się gorąco, co się dzieje na ulicy, czy ludzie się nie gromadzą i nie czytają czego na murze?

— Moja pani kochana, czego on się tak spodziewa? Bo to nie wszystko już zarewirowane?...

B. Gorceżyński.

Józef Conrad.

Przekład z angielskiego
przez H. J. P.

W oczach Zachodu.

5

POWIEŚĆ.

Oczywiście, nie był zmurzałym reakcyonistą. Nie wszystko było tu nallepszem. Despotyczna biurokracya... nadużycia... przekupstwa i tak dalej... Potrzeba było zdolnych ludzi. Światłych umysłów. Szlachetnych serc. Ale absolutna władza powinna być zostać — narzędzie gotowe dla człowieka — dla wielkiego autokraty przyszłości. Razumow wierzył w niego. Historyczna logika czyniła go nieuniknionym. Położenie ludu domagało się go.

— Cóż innego? — zapytywał sam siebie Razumow z zapalem — mogłoby poruszyć tę masę w jednym kierunku? Nic innego. Nic, tylko jedna czyjaś wola.

Był przekonany, że poświęcał osobistą tęsknotę za liberalizmem,

odrzucając ponętny błąd dla surowej, rosyjskiej prawdy.

— To jest patryotyzm — zauważył w duchu i dodał: — Tu wpół drogi zatrzymać się nie można.

Po chwili dorzucił jeszcze:

— Nie jestem tchórzem.

I znowu zapanowała śmiertelna cisza w piersi Razumowa. Szedł ze zwieszoną głową, zwolna, nie ustępując nikomu, a powracające myśli opanowywały go znowu.

— Kimże jest ten Haldin? Kim ja jestem? Ja i on — dwa ziarnka piasku. Ale olbrzymie góry powstają z takich nic nie znaczących ziarenek. A śmierć jednego człowieka lub wielu ludzi, to w gruncie rzeczy drobnostka. A jednak zwalczamy zarazę. Alboż ja pragnę jego śmier-

ci? Bynajmniej. Ocaliłbym go, gdybym mógł — ale tego nikt nie dokáže — to uschnięty członek, który trzeba odciąć. Jeżeli mam zginąć przez niego, niechże przynajmniej nie ginę z nim, związany wbrew mojej woli z jego ponurem waryactwem, które nie rozumie ani ludzi, ani rzeczy. Czemu mam zostawiać po sobie fałszywą pamięć?

Przemknęło mu przez głowę, że na całym świecie nie było nikogo, kto by dbał o to, jaką on pamięć po sobie zostawi; lecz powiedział sobie natychmiast:

— Zginąć marnie dla jakiejś chimery... fałszu! Co za nędzny los!

Znajdował się teraz w bardziej ożywionej części miasta. Szedł wciąż zwolna, pogrążony w myślach, patrząc wprost przed siebie.

Nagle na śniegu wpoprzek tro-tuaru ujrzał Haldina. Leżał na wznak, w ciemno-brązowym, obcisłym pal-cie i długich butach, z wywróconymi dłońmi na oczach.

Ta halucynacja była tak wy-raźna, tak niemal dotykana, że Ra-zumow mimowoli sięgnął ręką do kieszeni, by się upewnić, że ma w niej klucz od pokoju. Lecz w tej sa-mej chwili skrzywił pogardliwie u-sta. Zrozumiał. Myślał z takim na-tężeniem o tej postaci leżącej tam na jego łóżku, że to go doprowadziło do tego zdumiewającego złudzenia wzroku. Spokojnie, nie zmieniając chodu i patrząc daleko przed siebie, przeszedł po owym widziadłe, dozna-wszy jedynie lekkiego ściśnienia w piersiach. Następnie odwrócił się i zobaczył jedynie świeże ślady stóp swoich na miejscu, gdzie leżały pier-sj widziadła.

— Dziwna rzecz — szepnął w zdumieniu. — Zupełnie, jak żywy. Byłbym przysiągł, że oddycha. I właś-nie tak na mojej drodze! Nadzwyz-czajne!

Uszedł jeszcze kilkanaście kro-ków i mruknął przez zaciśnięte zęby:

— Trzeba z nim skończyć.

Otulił się szczelnie płaszczem i nasunął czapkę na oczy:

— Zdrada. Wielkie słowo. Cóż to jest zdrada? Mówi się o człowieku zdradzającym swój kraj, przyja-ciół, kochankę. Musi tu istnieć prze-dewszystkiem jakiś moralny zwią-zek. Człowiek może jedynie zdra-dzić swoje sumienie. A gdzież tu wchodzi w grę moje sumienie; jakie węzły wspólnych wierzeń, wspól-nych przekonań zmuszają mnie, abym się pozwolił wciągać w prze-paść temu fanatycznemu idyocie? Wprost przeciwnie.

Rozejrzał się dokoła z pod czapki.

— Cóż mi mogą przesady świa-ta zarzucić? Czym wywołał jego zaufanie? Nie. Czy bodaj jednym słowem, jednym spojrzeniem upo-ważniłem go do przypuszczenia, że przyjmuję to zaufanie? Nie! Pra-wda, że zgodziłem się pójść do Zie-mianicza. I poszedłem. I złamałem na nim widły — na tym pljaku.

Zastanowił się chwilę.

— W każdym razie — pomy-słał — lepiej będzie zachować tę oko-liczność przy sobie.

Minał zakręt wiodący do jego mieszkania i znalazł się na szerokiej, eleganckiej ulicy. Niektóre sklepy były jeszcze otwarte i wszystkie re-stauracye. Światła padały na cho-dniki, po których mężczyźni w ko-sztownych futrach, tu i owdzie w to-warzystwie wytwornych kobiet spa-cerowali zwolna. Razumow spoglądał na nich z pogardą surowego wy-znawcy dla lekkomyślnego tłumu. Oto był wielki świat: ci oficerowie, dygnitarze, urzędnicy, członkowie Yacht Clubu. Wypadek ranny do-tknął ich wszystkich. Coby też rze-kli, gdyby wiedzieli, co ten student w płaszczu zamierza uczynić.

— Ani jeden z nich nie potrafił myśleć i czuć tak głęboko, jak ja. Iluż z nich byłoby zdolnych spełnić czyn przekonania?

Razumow szedł coraz wolniej jasno oświetloną ulicą. Powziął już stanowcze postanowienie. Prawdę rzekłszy, trudno to było nazwać po-stanowieniem. Poprostu uświadomił sobie to, co zamierzał uczynić od po-czątku. A jednak czuł potrzebę czy-jejs sankcyi.

Z jakimś bolesnem uczuciem powiedział sobie:

— Chcę, żeby mnie zrozumiano.

Ogarnęła go melancholijna tę-sknota zaufania, jego, który wśród ośmdziesięciu milionów swoich roda-ków nie miał jednego serca, przed którem mógłby się wywnętrzyć.

O adwokacie nie było co my-sleć. Razumow zbyt go lekceważył. Nie mógł również otworzyć swego sumienia przed pierwszym policyan-tem na rogu. Ani też pilno mu było iść do komisarza cyrkulu, w którym mieszkał. Zaniedbana powierzchow-ność tego urzędnika, wiecznie ćmiącego papierosa, nie zachęcała do zwierzeń.

— Prawdopodobnie zacząłby od tego, że mnieby zaaresztował — po-myślał Razumow. — A w każdym razie narobiłby hałasu.

A tak; czyn przekonania musi być spełniony z godnością.

Razumow łaknął jakiegoś słowa zachęty, rady. Któż wie dobrze, czym jest prawdziwe osamotnienie? Najnędzniejszy wyrutek chowa w

duszy jakąś pamięć, jakieś złudze-nie. Raz po raz fatalny zbieg oko-liczności odsłania na chwilę oblicze tego duchowego potwora. Na chwi-lę tylko. Żadna ludzka istota nie mo-głaby znieść stałe widoku moralne-go osamotnienia. Toby ją doprowa-dziło do waryacyi.

A Razumow właśnie stanął na tym punkcie. I na chwilę ogarnęła go szalona chęć pobiedz do mieszka-nia, paść na kolana przed wyciąg-niętą na łóżku ciemną postacią, wy-znać wszystko w namiętnej spowie-dzi, któraby wstrząsnęła najgłębszą jaźnią tego człowieka, któraby się skończyła łzami i uściskami, nieopł-sanem zespoleniem dusz, jakiego świat nigdy dotąd nie widział. To byłoby wzniosłe!

Drżał już i płakał wewnętrznie. Ale czuł zarazem, że na zewnątrz wygląda, jak spokojny student w płaszczu, który sobie wyszedł na przechadzkę.

Nagle stanął. Mignęły mu ja-kieś siwe wasy, i w jednej chwili wi-dok ten przelotny wywołał w jego pamięci postać księcia K., tego czło-wieka, który uściśnął mu rękę, jak nigdy nikt inny — uściśnął zlekka, lecz przeciągle, na podobieństwo po-tajemnego znaku lub wpeł mimowol-nej pieszczoty.

I Razumow aż zdumiał. Dlacze-go nie pomyślał o nim pierwiej?

— Senator, dygnitarz, znakomi-ta osobistość. On!

Kolana ugięły się pod nim zlek-ka. Wskoczył w sanki i krzyknął na woźnicę:

— Do pałacu księcia K.. Jazda! Wystraszony muzyk, zarośnięty po same białka, odpowiedział uniże-nie:

— Słyszę, Wasza Wysoka Wiel-możność.

Szcześciem to było dla Razumo-wa, że księżę K. nie należał do ludzi tchórzliwych. W dzień zabójstwa prezesa ministrów ogromne przygnę-bienie i trwoga panowały w wyż-szych urzędowych sferach.

Księżę K. siedział sam, smutnie zadumany w swoim gabinecie, gdy wystraszona służba przysłała oznaj-mić, że jakiś tajemniczy młodzieniec wdarł się przemocą do hallu, nie po-wiedział ani swego nazwiska, ani in-teresu, jaki go sprowadza, i nie chce ustąpić, dopóki nie zobaczy się z Je-go Ekszelencyą.

Księżę K. zamiast zamknąć się na klucz i zatelefonować po poli-cję, jakby to na jego miejscu uczy-niło dziewięćdziesiątych dygnitarzy, wstał i otworzył spokojnie drzwi ga-binetu.

W hallu, otoczony gromadą lo-

kai, blady, jak śmierć, z palającymi oczyma stał Razumow.

Książę poznał go natychmiast. Stropił się tem niepomiernie, a nawet oburzył. Ale jakieś uczucie szacunku dla samego siebie nie dozwoliło mu kazać wyrzucić za drzwi tego młodzieńca sługusom. Nieznacznie cofnął się do swego pokoju i po pewnej chwili zadzwonił. Razumow usłyszał w hallu złowrogo podniesiony, ostry głos, mówiący gdzieś daleko:

— Wprowadzić tu tego pana.

Razumow wszedł śmiało. Czuł się nietykalnym; wywyższonym ponad pospolite ludzkie sądy. I choć wiedział, że książę patrzy na niego z nietajomym niezadowolaniem i nie prosi go siedzieć, nie stracił ani na chwilę pewności siebie.

W pół godziny potem ukazał się obaj w hallu. Lokaje wstali i dopomogli księciu, z trudnością poruszającemu się na swych podagrycznych nogach, otulić się w futro. Powóz już czekał, na skutek wydanego uprzednio rozkazu. Gdy wielkie podwoje otwały się ze stukiem, Razumow, który stał w milczeniu, usłyszał głos księcia:

— Podaj mi ramię, młodzieńcze.

Pełne spokoju i godności opowiadanie Razumowa wywarło głębokie wrażenie na ruchliwym, powierzchownym umyśle byłego gwardzisty, salonowca, doświadczonego jedynie w miłosnych zabiegach i światowych intrygach.

Powiedział mu:

— Nie. Wszystko zważywszy, nie mogę ci wziąć za złe, żeś się odważył przyjść do mnie z twoją opowieścią. To nie jest policyjna sprawa... Rzecz to ogromnej wagi... Bądź spokojny. Dopomogę ci w tem nadzwyczajnym i tak dalece trudnym położeniu.

Powiedziawszy to, książę wstał i zadzwonił, a Razumow skłonił się i rzekł z uszanowaniem:

— Zawierzyłem memu instynktowi. Młodzieniec, nie mający nikogo na świecie, zwrócił się w chwili, która wystawiła na próbę jego najgłębsze przekonania polityczne, do znakomitego rosyjanina—to wszystko.

Książę wówczas zawołał:

— Zrobiłeś dobrze.

W powozie — była to mała karetka na płozach — Razumow prze-rwał milczenie lekko drżącym głosem:

— Wdzięczność moja przecho-dzi moje najśmielsze nadzieje.

Zatknęło go; bo uczył nagle w ciemnościach przelotny uścisk ręki:

— Zrobiłeś dobrze — powtórzył książę.

Dalszy ciąg nastąpi.

Montaigne Boy'a.

Swawolny piosenkarz kabaretów krakowskich, dowcipny ironista cnót podwawelskich snadź nie zadowolili się rytmiczną canzoną, oczyszczającą bóle duszy. Świat wkleśłych szkieł nie wystarczył do odkarmienia zgłodniałej wrażliwości. Jaśnie wielmożny pan Boy z uliczek starego Krakowa, pełnych snobizmu, stęchlizny i zgnilizny, umyślił przedostać się w ramiona zdrowej, jędrnej atmosfery moralnej wieków ubiegłych. Powrócił do pana Reya z Nagłowic. Upodobał sobie nawet jego teźyznę, ale meblunek głowy wydał mu się zbyt, jak na owe czasy, małoza-sobnym. Nie wiele więc zważając na trudności komunikacyjne, pojechał do innego klimatu „po większe zapasy oleju“.

I znalazł te zasoby w starych klasy-kach francuskich, których jał skwapliwie mowie polskiej przyswajać. Dał „Rabelais'a“ pięć tomów, Moliera sześć książek, Marivaux, Brantoma, Montesquieu, Laclos, Woltera, Balzaca a nawet Verlaine'a. Znalazło się też miejsce dla Beaumarchais'a, Diderota, Rousseau, Racina i Crebillona. W ten sposób wy-dostał się z miazmatów współczesności przedwojennej—a od wojny ratować się począł Montaigne'a pismami. Wtedy dojrzał projekt, że należy stworzyć własną bibliotekę Boy'a. Będzie ona w doborze pism osobistym wykładnikiem gustów wesołego ironisty krakowskiego i pokaże, jakie światy pociągają jego zainteresowania. Nie uważa za potrzebne dowodzić racjonalności wyboru tych a nie innych pism do przekładu. Daje to, co pociąga jego wrażliwość intelektualną. Nie troszczy się wcale o to, co powie moralista lub snob zakatarzony. Mówi sam o sobie Boy: „Co się tyczy programu, to jak i dotąd, starczy mi zań moja osobista przyjemność; jeśli przypadkowo zejdzie się ona, tu i ówdzie, z ogólnym pożytkiem, nie mam nic przeciwko temu“.

Do Montaigne'a wziął się podczas wojny. Zaciągnięto Boy'a w szeregi armii, przystrojono mundurem austriackim i rozkazano pełnić służbę, do której nie nawykł. Boy i tu, wśród obcych sobie zamiłowań, znalazł czas, by znów nie patrzeć na to wojenne dziś zbyt jednostronnie. W rzadkich chwilach wolnych od służby wojskowej skwapliwie wraca do „Prób“ Montaigne'a. Te „Próby“ stały się próbą duszy. Tyle przecież mówi się teraz o wojnie i o chwilach przełomowych, że nie stać nas już na nic, na żadne własnej duszy świadome budownictwo. Czyż nie jest wskazane w takie właśnie chwile umieć spojrzeć w głąb własnego serca i sumienia?

Boy lata wojny nie chce zmarnować bez pożytku dla duszy własnej. Tłómaczy więc skwapliwie całego Montaigne'a i rzuca na rynek księgarski pięć estetycznie wydanych tomów jego pism. Poprzedza swoje tłumaczenie rzeczowo opracowaną a rozmową biografią Montaigne'a, w której stara się wyświe-tlić psychologię wielkiego mędrca francuskiego. O wstępie swoim mówi, że jest trochę „feldgrau“ — ale nie należy temu zbyt wierzyc. Boy kokietuje dyletan-

tyzmem, Zresztą Boy i Montaigne'owi czyni podobny zarzut. Ten człowiek szczery i prawdą żyjący aż do dna swojego jestestwa był na jednym punkcie tylko wrażliwym: Zawsze chciał uchodzić za magnata, posiadającego w rodzie tylko szlachtę, a złośliwa kronika mówiła o kupczykach z Bordeaux. Można mu jednak darować tę drobną śmieszność. Wydzwignął myślą swoją z niebytu tak bogaty świat intelektualny, że jeszcze dziś promieniuje on i pociąga. Boy mówi o „Próbach“: „Dziwna w istocie książka! Póki ją mamy w rękę, brniemy, zacieka-wieni, rozbawieni nieraz, przez ten gąszcz kłócących się z sobą wywodów, wątpliwych anegdot, niedyskretnych zwie-rzeń; — kiedy oddalimy się od niej, wy-lania się we wspomnieniu jakaś organiczna, harmonijna całość, wyrasta jakiś po-tężny tom myśli ludzkiej, w którym o-gromny centralny rozdział, Apologia Raymond'a Sebonda — człowiek w obliczu nieskończoności — staje się głównym, środkowym ołtarzem: prawda, iż prze-znaczonym dla nabożeństwa dość osobliwego obrządku“ (Str. XXV).

Obrządek ten bowiem przewiduje, że... „młodości przystoi powaga, a starości płochość“. Montaigne'a powszechnie uważa się za sceptyka. Niech jednak nikt tego sceptycyzmu zbyt łatwo nie sądzi! Płyń on z ludzkich przeświadczeń i z przeczuć „krytyki czystego rozumu“. Narzędzia poznania wysubtel-nia już na kilka wieków przed Kantem i staje się rodzicem dziwnej paranteli: Czerpie z niego przecież żarliwy zelant Pascal, w nim szuka ukojeń i błogosławieństw Wolter, a Rousseau przez Montaigne'a staje się sprawcą rewolucji.

„Próby“ Montaigne'a czyta się i dziś z wielkim zainteresowaniem i napięciem uwagi. Rozważne sądy o wątpliwościach, jakie człowiekowi niesie pamięć i doświadczenie, przepłata Montaigne ceka-wemi opowiadkami obyczajowemi. Ta obyczajowa strona książki jest niezmiernie pożądana i ciężką swoją razi nieraz dobrze wychowane oczy i uszy. Zdrowie jednak niesie i to zdrowie jedne, męskie. Masa przytem cytat łacińskich i greckich otwiera przed nami tajemnicę wielkiego czytania imię pana Michała z Montaigne.

„Próby“ Montaigne'a ludziom na umyśle zdrowym a ciekawym napewno dostarcza wiele rozkoszy i usprawiedli-wia tem możność imię pana Boy'a z Krakowa, który, choć tłumaczył je dla własnej przyjemności, lecz wydał ad majorem gloriam reipublicae Polonorum. Już za przekład Moliera akademika francuska ozdobiła Boy'a legia honorowa, co wyrażenie wskazywało, że niebawem tylko Żeliński Tadeusz statecznie prace swoje podpisywać zacznie. Boy jednak ukończył bardziej swoją przyjemność, niż powagę. I znów stanął z Montaigne'a „Próbami“ w szacie dawnej, prostej — a bez patosu. Polszczyzna jego przytem jasna i słoneczna mogłaby służyć za wzór dla tych wszystkich napuszonych a pustych retorów, co chcieliby dźwigać ciężką nie treścią czynów, lecz dzwiecznością słów.

Eustachy Czekalski.